

Elektorat pustej kieszeni

19 czerwca 2015

Ponad 20 proc. Kukiza w wyborach prezydenckich, nie wspominając już o wygranej Dudy, wywołało u celebryckich analityków rzeczywistości popłoch. W łeb wzięły radosne zapewnienia Czapieńskiego, że Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się optymistyczniej.

ŚMIECH NA PARKIECIE

Poszły w drebieżgi teorie, że motłochowi wystarczy dać igrzyska i autostrady. Cztery lata temu lud uwierzył, że dzięki światłości ekonomicznej Tuska suchą stopą przeszliśmy kryzys, w którym potonęły gospodarki wszystkich innych krajów. Ale od tamtego czasu o kilkunastoprocentowej recesji pozapominali ci, którzy jej doświadczyli, a u nas kicha. Amerykański indeks giełdowy S&P 500 skoczył z 900 punktów w 2008 roku do obecnych 2100 punktów. W tym samym czasie giełda najprężniej rozwijającej się – według zapewnień rządzących – gospodarki Europy nijak tego rozwoju nie oddaje. WIG 20 z 1800 punktów siedem lat temu, doczołgał się do 2350 punktów teraz. W Ameryce ponad 2 razy tyle, u nas ledwie o jedną trzecią więcej. Podobnie wyglądałoby porównanie z giełdą frankfurcką, czy londyńską.

RECHOT HISTORII

Kultywowane przez ekspertów i media karmienie publiki danymi statystycznymi i pochwałami ze strony Banków Światowych lub innych MFW przestało działać. Elektorat Kukiza i Dudy nie odczuwał deklarowanych przez GUS 4 tysiące zł średnich zarobków. Polak widział paroprocentowe wzrosty tylko na ekranie telewizora, ale nijak nie dostrzegał ich we własnej kieszeni.

Opowieści Komorowskiego o historycznym skoku Polski w ostatnim ćwierćwieczu na znającego zasobność swojego portfela obywatela

zaczynały działać jak płachta na byka.

Dwadzieścia pięć lat to szmat czasu. Dość, żeby od kraju, w którym wszystko, co nosiło znamiona przemysłu zostało zmiecione nalotami dywanowymi, a kobiety sprzedawały się okupantom za trochę żarcia, dojść do pozycji światowej potęgi ekonomicznej. Myślę tu o Niemczech lat 1946-1970. Przez ćwierć wieku zachodnioniemieckie PKB na głowę wzrosło z 2217 (wg metodologii Geary-Khamis) do prawie 17 tys. dolarów. Niemieccy emeryci już w połowie lat 50. gremialnie zaludniali plaże Morza Śródziemnego i okolic. Niemieccy pracodawcy mieli zaś tyle zleceń, że musieli ściągać do siebie kelnerów z Włoch i sprzątaczkę z Hiszpanii, o robotnikach z Turcji i Jugosławii nie wspominając.

Pał licho Niemcy. W takim PRL przez dwadzieścia pięć lat też zmieniło się wszystko. Miliony przemieściły się ze wsi do miast. Kolejne miliony zdobyły wykształcenie i kwalifikacje. Produkt Narodowy Brutto per capita szacowany w 1946 roku na 1390 baksów, w 1970 wynosił już 4428 dol. To oznacza wzrost gospodarczy o 219 proc. w ciągu pierwszego ćwierćwiecza PRL. I to bez tego, co zainkasowały Niemcy z Planu Marshalla – odpowiednika dzisiejszych 10 mld dolarów. Powojenną Polskę drenował ZSRR, wywożąc z niej tuż po 1945 roku wszystko, co nadawało się do demontażu, a przez następne lata wysysając węgiel i inne dobra za Bóg zapłać. Wyprowadzenie kraju z powojennej nędzy do gomułkowskiej „małej stabilizacji” było prawdziwym skokiem cywilizacyjnym. I to dokonany w jednym pokoleniu.

CHICHOT ZNAD ZMYWAKA

W przypadku III Rzeczypospolitej punktem wyjścia jest 1989 r. z PKB per capita 5684 dol. W odróżnieniu od roku 1945 kraj nie był spalony. Przemysł jako tako egzystował. Przez kolejne 25 lat było już tylko więcej i lepiej. Rośliśmy jak na drożdżach. Inkasowaliśmy miliardy euro z Unii. Darowano nam długi. No i w efekcie na koniec 2014 r. osiągnęliśmy 12 062 dol. PKB per

capita.

Ups! Przez dwadzieścia pięć lat rozwoju w świet(l)nym tempie PKB na twarz wzrosło o 112 proc. Wzrost gospodarczy w PRL był więc prawie dwukrotnie wyższy.

Dzisiejszych polskich emerytów nie stać na lekarstwa. Polscy pracownicy mają zaś w kraju tyle pracy, że muszą z powodu much w nosie realizować się jako barmani w Londynie, sprzątaczką w Norwegii, czy opiekunki w Niemczech...

RŻENIE BELKI

Przedwyborcze diagnozy społeczne i sondaże nie pokazały, że przeciętny Polak czuje, że – wbrew temu co mu się wmawia – coś jest nie tak. W nauce nosi to nazwę dysonansu poznawczego.

Np. miliony nowo upieczonych magistrów słyszą i widzą, że jest dobrze, a sami zarabiając na umowie o dzieło 1500 zeta nie znają nikogo, kto dostaje gusowskie 3 300 zł na rękę. Wręcz przeciwnie: wokół pełno ludzi, którzy częściej szukają pracy niż ją mają. Nie dziwota, że przestają wierzyć w bajki. Widzą, że w czasie jednego pokolenia, wszystkim wokół się pogorszyło. W PRL-u ich rodzice znaleźli pracę i mieszkanie się w miastach. Dziś migracji nie ma. W miastach praca co prawda jest, ale za najniższe stawki. Takie, które uniemożliwiają nawet wynajęcie pokoju na spółkę. Migracji nie ma, ale emigracja – jak najbardziej. Wyjechało już ponad 2 miliony. Kolejne pakują walizki.

Ci ludzie nie muszą znać statystyk mówiących, że bezrobocie spada. Owszem spada, tyle, że od lat utrzymuje się na tym samym, 2-milionowym poziomie. Dzięki temu pracodawcy mogą żyć nie umierać. Chętnych do pracy za psie pieniądze im nie zabraknie. Ludzi nie pasjonują radosne dane ekonomiczne i cała biznesowa statystyka. Oni mają własne portfele i portmonetki, które mówią im coś innego.

Dzisiejsze PKB per capita daje nam miejsce za Timorem

Wschodnim, ale przed Trynidadem i Tobago. Dane te pochodzą z MFW i Banku Światowego, i rzecz jasna różnią się od tego co publikuje GUS, czy Eurostat. A zdawałoby się, że metodologię mają taką samą. Inna sprawa, że jak się człowiek naczyta, że co pięć lat jego efektywność rośnie dwukrotnie, to i serce rośnie. Tyle, że zaraz pojawi się pytanie o choćby minimalne przełożenie tego wzrostu na podwyżkę wynagrodzenia... I dlatego jakiegokolwiek dane z udziałem PKB nie są już dla nikogo przekonujące.

Dla Marka Belki też. Odczarował polską gospodarkę stwierdzając, że choć mamy największy w Europie wzrost efektywności pracy, to zarobki na Węgrzech, w Słowacji i Czechach w ostatnich 10 latach wzrosły w stosunku do naszych 2,5-krotnie. Znaczy się, żeby ich dogonić, GUS musiałby podać, że średnie zarobki w Polsce wynoszą 10 tys złotych z haczykiem.

UCIECHA STATYSTYKÓW

Na papierze wychodzi, że gospodarka rośnie. Skąd zatem dane GUS o tym, że od lat w skrajnym ubóstwie żyje co dwunasty obywatel „zielonej wyspy”? To 3 mln ludzi. Kolejne 1,6 mln egzystuje poniżej minimum socjalnego.

Bogatych mamy jak na lekarstwo. Według tego co zeznają w PIT-ach jest ich niemal dokładnie tyle ile wynosi błąd statystyczny. Czyli jakieś 3 procent. Tylko tylu łapie się na najwyższą stawkę podatkową.

Czy w takim razie można jeszcze mówić o fenomenie wyniku populistów typu Duda i Kukiz? Absolutnie nie. Każdy socjolog i każdy ekonomista powinni byli to przewidzieć. Ludzie mają dość życia w piramidalnej hipokryzji. Wśród opowieści o tym, że państwo nie ma pieniędzy, że żeby dać, trzeba uciąć gdzie indziej. Jeśli w ciągu 10 lat liczba urzędników wzrosła o 100 tysięcy, a procedury biurokratyczne są dla obywatela wciąż nie do przeskoczenia, to aż dziw, że agresja społeczna przejawia

się u nas nie w postaci barykad i koktajli Mołotowa, a w ramach retoryki politycznej.

BEKA RESZTY ŚWIATA

Co robią tuzy polskiej ekonomii, że na dźwięk słowa Polska światowa finansjera wybucha śmiechem? Bo wybucha.

Z raportu amerykańskiej pozarządowej organizacji Global Financial Integrity (GFI) wynika, że w latach 2003-2012 wytransferowano z Polski dziesiątki miliardów dolarów. W roku 2003 – 1,96 mld, a w następnych latach odpowiednio: 0,42 mld; 0,79 mld; 3,3 mld; 12,16 mld; 10,04 mld; 10,46 mld; 9,92 mld, 4,06 mld. Odpowiedzialne są za to zagraniczne firmy, które rząd zwolnił od podatku dochodowego. Badania pokazały, że Polska jako jedyny kraj Unii Europejskiej znalazła się w pierwszej dwudziestce najbardziej wyzyskiwanych państw. Na tej samej liście Rumunia jest na miejscu 32.

W Polsce średni skorygowany dochód do dyspozycji gospodarstwa domowego netto na osobę wynosi 16 234 dol. na rok. Średnia OECD to 23 938 dol.

Ludzie w Polsce pracują przez 1929 godzin rocznie. Średnia OECD wynosi 1765 godzin.

89 proc. dorosłych Polaków w wieku 25-64 lata ma wykształcenie średnie, przy średniej OECD wynoszącej 75 procent.

Żony dziadków dzisiejszych 20- czy 30-latków nie musiały pracować. Dziadkowie byli je w stanie utrzymać z jednej pensji. Dziś, dzięki zgodzie rządzących na drenaż naszej gospodarki, pary magistrów na śmieciówkach nie stać nawet na obrączki.

Złotouści komentatorzy opowiadają o końcu epoki pokolenia „Solidarności”. Bzdura. Wyniki wyborów i sondaży partyjnych nie mają nic wspólnego z polityką. Są przejawem myślenia własną kieszenią. A dla kieszeni nie liczy się czy ktoś się

będzie modlił, czy palił urzędy. Kieszonki chce być pełne pieniędzy.

Autorstwo: Tadeusz Jasiński

Źródło: Strajk.eu